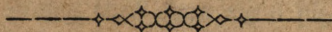


ODPOWIEDŹ
DZIENNIKOWI POZNAŃSKIEMU



72

1868.

ODPOWIEDŹ

INŻYNIEROWI POZNAŃSKIEMU



L. T. PICHARSKIEGO

Faint, mostly illegible red ink markings, possibly a library or archival stamp.

W KRAKOWIE
7715

1803

nione życiem, a od życia twarz odchyła, jakby jej właściwym celem było: budować gmach powtórny z wszystkich rozsypanych ułomności, wad, błędów i brzydot po świecie.

Coś pięknego ujrzeć, ocenić i uznać, jest jedną z najwyższych ducha rozkoszy, lecz takowej zabraniają sobie zwykle złośliwi krytycy — zajadłe, pogańskie serce wre im w piersiach, miłością Chrześcian nie napoili się dotąd, kochają się wściekle w ujemnym siły swojej kierunku. Ten wyłączny kierunek nie za część, za środek, ale za całość, za cel uważają — gnani tej pomyłki wiatrem, gdy wysuną się z portu, gdy rozpuszczają żagle, płyną wprawdzie, ale po wielkiej nicości.

Kiedy Antoni Oleszczyński, sławny nasz rytownik, doznawszy obelg i bolesnych pocisków ze strony krajowych krytyków, już chciał rzucić rylec o ziemię, opuścić ręce i chyba wzgardę cisnąć im w oczy, wtenczas na pociechę własną, a dobro sztuki, otrzymał list od Adama Mickiewicza, w którym pisze mu poeta: „W Ewangelji już powiedziano, trudno prorokiem być we własnym kraju. Ja także tam odebrałem pierwsze ciosy i pośmiewisko. Krytyka przybiera postać istoty pozerającej. Zdaje się, że ona dybie szczególnie, żeby niczego nie zostawić bez obruszenia, a jej tryumfem jest panowanie nad ruinami. Szkoda tylko, że ona często zapomina, iż łatwiej jest coś wycinować, opuścić, lub oszkalować, aniżeli wykonać.“

się winno, a ostateczne rozstrzygnięcie, ani do autora, ani do czasopisma, ale do Publiczności należy. Zresztą samo prawo prasowe nakazuje umieszczać Obrony autora w tem piśmie, w którym tenże został zaczepiony. Nie chcę jednak walczyć z koteryjnemi zasadami i stronniczością Redakcyi „Dziennika Poznańskiego“, a oddając sprawę tę pod sąd prawych i światłych ludzi, poprzestaję na ogłoszeniu „Odpowiedzi“ mojej, (tej treści zupełnie, w jakiej ją posłałem „Dziennikowi Poznańskiemu“) w osobnej [niniejszej] broszurze. Dodam tutaj to tylko jeszcze, że podobnie parcyalne i nieprawe postępowanie, jakie chyba tylko w dzikiej Moskwie się praktykuje, gdzie oskarżonemu nawet bronić się nie pozwalają, zasługuje na potępienie i jest niegodne tej chwały i powagi, jaką szczyli się „Dziennik Poznański.“

L. T. R.

Jestto, jak się Maurycy Dzieduszycki trafnie wyraża, postępowania lwica z cygarem w ustach, a z rajtpajczem w rękę. — Zbytecznem byłoby tu wyliczać tylu zdolnych pisarzy, co obrzuceni i zrażeni zjadliwą krytyką, ze wstrętem cofnęli się od tego zawodu, w którym ich szarpać chciano; dość wspomnieć tutaj Alexandra Fredrę (ojca), pierwszego z naszych komedjopisarzy, który pogniewawszy się na dotkliwą recenzję, rzucił pióro i nic już potem nie drukował, na czem i literatura a szczególnie dramat polski i scena nasza nadwyczają straciły.

Między kilku już recenzjami mej „*Literatury polskiej*,” dotknęły mnie podobne dwie krytyki: w „Dzienniku literackim” i w „Dzienniku poznańskim.” O pierwszej z nich, jako niegodnej nawet pogardy, a cóż dopiero odpowiedzi (chyba gdybym się chciał walać równym kałem bluźnierstwa, ochydy, nienawiści, a przytém niedołężności pisarskiej), zamilczam; zresztą wystąpił już przeciw niej w mojej obronie p. G. w Nr. 55 krakowskiego dziennika „Czas”. Z krytyką p. Lecha Brony, alias p. Łucyana Tatomira *) postąpiłem sobie, jak niegdyś nasz filozof z XVIII wieku Antoni Wiśniewski, który kiedy na jedno jego dzieło wyszła żółciowa i niesprawiedliwa krytyka, po przeczytaniu tejże, napisał na jej okładce: „*Ne respondeas stulto juxta stultitiam ejus, ne efficiaris ei similis.*” Odpowiadam tutaj na drugą, ceniąc w niej przynajmniej pióro pisarskie, jakkolwiek i tu recenzent nie żałował żółci, a w paszkwilu swym wypisał dyplom potępienia.

Na strzał odpowiedzieć można strzałem, szablę odeprzeć szablą, ale na złość i zawiść odpowiadać wzajemnie, byłoby hańbą i zbrodnią w obec nieszczęsnego narodu, karanego wciąż i pokutującego za grzechy i winy podobne. Dlatego nie myślę bynajmniej rzucać słowami szyderstwa i nienawiści na mego

*) Pseudonym Lecha Brony, który w roku zeszłym krytykował w „Dzienniku literackim” Nehringa „Kurs literatury polskiej” i Michny „Jeografję,” denuncyował tenże sam Dziennik w „Spisie rzeczy”, odkrywając, że owym sławnym krytykiem jest pan Łucyan Tatomir.

recenzenta, jakiemi sam mnie dotknął, ale chciałbym przynajmniej w kilku wyrazach usprawiedliwić się z niektórych główniejszych zarzutów uczynionych mi przez krytyka, nie w obec niego, ale w obec Publiczności czytającej.

Recenzent z ogromną zarliwością, powiedziałbym, z jakąś werwą poetyczną występuje w obronie klasyków, a apoteozując niemal Osińskiego i Koźmiana, stawia ich na równi z geniuszami nowej poezyi, i stara się do ich strupiejącej skorupy wprowadzić ducha, który ujęty w zbyt ciasne formuły myśli i stylu, nie umiał nigdy wydać z siebie tego, co nieraz może nawet i czuć. W swym zapale nawet upatruje w „Odzie“ Koźmiana, której znajomość samemu sobie tylko przypisuje, a której wartości poetycznej nie umie ocenić, *natchnienie* i *ogień* (sic) Mickiewicza i Pola, a nie wie tego, iż ten sam Koźmian, któremu znów ducha patryotycznego nikt nie zaprzeczy, drwiąc i szydząc z poezyi romantycznej, zowiąc ją karczemną i podkadzielną, wyraził się był zjadliwie w wierszu do Morawskiego:

„Precz więc Grecy z Parnasu, precz Rzymian prawidła,
Nasz Helikon za piecem, a muzy u była.“

Otóż taką samą ironję i zawiść widzimy w dwóch wierszach parodyi Osińskiego, które recenzent stara się koniecznie usprawiedliwić, a nie może nawet zrozumieć, dlaczegom powiedział, iż autor „Ody do Kopernika“ z Laharpem pod pachą i z wierszami parodyi z „Dziadów“ zstąpił do grobu. Nie miałem ja bynajmniej na myśli szyderstwa z Osińskiego, chociażby może nawet na to sobie poniekąd w odwecie zasłużył, ale chciałem przez to najpierw scharakteryzować czas tej zaciętej walki klasycyzmu z romantyzmem, a powtóre pokazać, jak wytrwałym uczniem przestarzałej szkoły do grobowej niemal deski był Osiński, i kiedy wszyscy prawie już jego dawni zwolennicy ogrzewali się ciepłem śpiewaków „Farysa“ i „Przedświtu“, on jeden stał niezachwiany, i powta-

rzając: *risum teneatis amici?* wciąż niejako potwierdzał swoją parodię. Zresztą nietylko ta jedna parodia wyszła z ust jego, gdyż nie było tak zapadłego kąta, gdzieby nie stawały naprzeciw siebie dwa obozy, gdzieby obok argumentów w ogóle i z jednej i z drugiej strony bardzo słabych, nie ciskano sobie w oczy jakim dowcipnem a szyderczem słówkiem Osińskiego, roznoszonem po kraju, lub jaką repliką romantyków. Że zaś Osiński, jak powiada recenzent, czytał lub deklamował Mickiewicza, czynił to podobnie, jak „kiedy wziął raz do ręki dzieła Goethego i rzekł: dość się z niego już nakpiłem, teraz go przeczytam.“ Bo, że Osiński czuł, a może nawet sam w sobie uznawał wyższość nowej szkoły poetycznej, to znów rzecz inna; i ztąd też te mgliste, przecuciowe instynkta zachowawczości kierowały całym Parnasem klasyków; ztąd taka nienawiść do nowatorów romantycznych, takie uparte odmawianie im wszelkich darów pisarskich, taka ślepotą na uderzające piękności w ich utworach. Na nieszczęście nie mieli oni, ani mogli pozycyi swojej obronić w obec zentuzyzmowanego ogółu młodych, żywiej czujących, mniej rozumujących umysłów i w obec zwycięstw, jakie codzień odnosiła nowa poezya i nowe wyobrażenia w literaturze. Nie mając tedy w tym kierunku żadnego punktu oparcia, prócz swojej powagi i powag, którym hołdowali tradycyjnie, musieli uleść prądowi, który nietylko ich reguły pisarskie, ale i polityczny porządek rozsadził. Konserwatyści pełni patriotyizmu i doświadczenia, lękali się o stratę nabytków osiągniętych przez rzadki zbieg okoliczności, nabytków zostających na łasce mocniejszego — i przeczuwali lepszą dla poezyi przyszłość. Osiński, choć głowa tak lekka, a pewnego czasu odezwał się w gronie zaufanych przyjaciół: „Kiedy widzę, że dziś zwłaszcza młodzież wielbi i podziwia to, czego my zrozumieć nie możemy, wpadam na myśl, że ta ich poezya, ta ich mowa jest jakby umówionym, tajemnym między nimi językiem, nieprzystępne dla nas znaczenie kryjącym.“ Na te słowa wszyscy zamysłili się i zamilkli, tylko Niemcewicz odezwał się: „choćby

ta uwaga sprawiedliwą być miała, nie trzeba jej powtarzać.“
Przytoczony ten fakt dowodzi, iż przeczuwano, na co się za-
nosi, a jednak zajadle walczone. Mimo to „Oda do młodości“
dotrzymała swego programu, któremu nie mógł przeszkodzić
„List do Pizonów“ z swym tyle razy do dziwo tworu roman-
tycznego przystósowywanym wierszem:

„Humano capiti cervicem pictor equinam
Jungere si velit“

tak samo, jakby kto dla zasłonięcia się od trąby powietrznej,
stawiał parawaniki z chińskimi karykaturami. A Niemcewicz
sam słuchając w późnej starości Słowackiego, czytającego mu
akt III ze swego najstarszego poematu „Mindowe“, z zadowo-
leniem powiedział autorowi te słowa: „Cieszę się, że przed
śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma
tak wielki talent i duch obywatelski utrzyma.“ — Z Osińskiego
jednak ust wyraźne uznanie wyższości geniuszów roman-
tycznych nigdy słyseć się nie dało.

Sprawa literacka między klasykami a romantykami da-
wno już jest rozstrzygniętą i może się uważać z wielu miar
za sprawę raczej słów niż rzeczy. Starożytni bowiem mistrzo-
wie, do których się odwoływali zawsze klasyczni krytycy, jak:
Homer, Eschyl, Sofokles i Pindar, nie mają żadnego podo-
bieństwa z gustem i tokiem pisarzy francuzkich XVIII wieku,
których u nas nately chciano szczególnie naśladować. Staro-
żytni mistrzowie szukali natchnień w rzeczach całemu ludowi
wiadomych, w okolicznościach miejscowych, rodzinnych, w da-
wnych narodowych tradycjach, w przekonaniach religją uświę-
conych: właśnie w przedmiotach, które nowa szkoła najwię-
cej poleca, o których twierdzi, że na własnym gruncie zawsze
są do znalezienia, byle ktoś umiał ich szukać i użyć. W wie-
kach XII, XIII i XIV, owych wiekach wstawionych mnóstwem
potężnych umysłów i postępem, okazującym się w naukach
i literaturze, znajomość i cześć starożytnych nie była obcą

uczonym i poetom. Dante Wirgiliusza za mistrza uznaje, bierze go za przewodnika w swej wyższego świata podróży, Homera zaś nazywa wszechwładnym poetą (poeta sovrano). Ale uznając wielkie zalety, piękności literatury starożytnej i szanując jej przepisy, ludzie tych wieków myśleli jednak i pisali podług swych narodowych pojęć i uczuć, przejęci urokiem ojczyściej mowy, usiłowali ją kształcić różnorodnie i nie rozdzielali swych natchnień od krajowych rodzinnych obyczajów, od tradycyjnych podań i od własnej wiary. — Wielki wiek Ludwika XIV wydał tak znakomitych pisarzy, że ich blask podbił literatury innych europejskich narodów. Wszystkie bez wyjątku jednogłośnie zgodziły się przez jakiś czas naśladować wzory francuzkie. Tak więc już nie oryginalne i starożytne typy, ale z drugiej ręki naśladowano naśladowców, z kopji kopje zdejmowano. A wtenczas i u nas, kiedy cały naród małpował Francję, lub ubóstwiał Napoleona, i poeci uwięźli w twarde i zawile formy pseudo-klasycyzmu, i — co mi znów recenzent zarzuca zupełnie nie rozumiejąc sprawy i czasu, a więc nie logicznie — czerpali swe natchnienie z *poetyki* Boileau, bo rzeczywiście wyrażając się słowami jego własnymi, tylko w przeciwnem znaczeniu: ziemia ich umysłowa, na której żniwowali, brała swą urodzajność (jeśli notabene o urodzajności naszych klasyków mowa być może) z suchego kodexu ówczesnej poetyki, jakoby z bezsoczystych przegród i opłotków, jakie ją strzegły. Ale nie tu koniec. Na udowodnianie recenzenta, że i w Koźmianie było Mickiewiczowskie natchnienie i ogień, odpowiem, że gdy się w kim spotka twórcza imaginacja z niemyślnym rozsądkiem i z czuciem silnem i szczerem, ten jakąbądź treść do obrobienia wybierze i jakichbądź do niej użyje form i prawideł, zawsze podług wszelkiego podobieństwa, wyda owoce piękne, niepospolite, godne pochwały. Chce-li zamknąć swoje natchnienie w ustalone szranki, potrafi on, mimo ścieśniających granic, tem żywsze i bardziej skupione między nie pomieścić piękności. Jeśli zaś zechce próbować Pegaza bez lejców, zdoła on go jeszcze ręką, głosem,

wolą należycie kierować, że choć na pozór bez wędzideł, nie przekroczy jednak przeciw pierwszym i wiecznym wymaganiom zdrowego sensu, zrozumiałości, przystojności i prawego czucia. Dlatego to i Homer i Wirgili, Dante i Ariost, Tasso i Milton, Sofokles i Szekspir, Corneille, Racine i Szyller, Goethe, Pindar, Horacy, Kochanowski, Krasicki i Mickiewicz, że innych nie wymienię, są godni wszystkich podziwienia i wdzięczności. Za co mielibyśmy sobie odmawiać przyjemności, jaką nam którykolwiek z nich sprawia i zamykać oczy i serce na jakiebądź w nich piękności? Tak więc z dawnymi, równie i z współczesnymi autorami powinniśmy się obejść, oddając każdemu, w czem wart, sprawiedliwość bez koniecznej uwagi, czy jest jednej lub drugiej szkoły zwolennikiem. Byli poeci, co do jednej i drugiej formy na przemiany się zbliżali i w obu potrafili celować. Owo zakochanie się w wyłącznej jakiej piękności tej lub owej szkoły, odwracanie się od zalet autora dlatego, że go rozumiemy przeciwnej zasady, trąci ciasnotą umysłu, odbiera człowiekowi połowę przyjemności, które mu wyższy pogląd i sąd bezstronny o każdej literaturze zapewniają. Ani słowa. Lecz gdy się mierność spotka z wybujałą próżnością, jakto żywy tego mamy obraz w Ludwiku Osińskim, wówczas taki pisarz, rzucając słowami pogardy, jak Kajetan Koźmian, lub parodyi, jak Osiński na swych nie-zwolenników, chybi zawsze urojonego celu, okaże się nietrafnym i niższym od przedmiotu, z tym wszakże dodatkiem, że prowadzony przez klasycyzm autor stanie się ciężkim i nudnym.

Lecz nie dość. Recenzent w swym egzaltowanym zapale, broniąc skwapliwie i gorąco klasyków, a szczególnie najbliższej ich głowy L. Osińskiego, nie wahał się bez zastanowienia jednym pociągnięciem pióra przyswoić mu poemat, o jakim Osiński ani marzył, i wypowiedzieć, iż „jego to wiersz, gdy wybuchła rewolucya listopadowa, umieszczono na ratuszu jako najodpowiedniejszy uczuciu narodowemu:

„Polacy! to nasz orzeł, to ziemia jest nasza!“

Pomyliło się krytykowi, wiersz ten bowiem jest utworem J. P. Woronicza, wyjęty z poematu jego pod tyt. „Assarmot“; nie w 1831 zaś roku, ale w 1807 śpiewano Osińskiego marsz dla pułku gwardyi polskiej:

„Idźmy, gdzie mąż wielki wzywa.“

Zresztą każdy, ktokolwiek obeznany jest z utworami poetycznymi dwóch tych rymopisów i zna ich wiersz i miarę wiersza, z łatwością odgadnie, czyją z nich własnością wiersz przez recenzenta przytoczony być może. Tutaj też pozwolę sobie dać memu krytykowi małą *nauczkę*, iż tylko kompetentny i kompletnie wykształcony w jakimś zawodzie winien się zabierać do krytykowania dzieła z tej samej gałęzi, aby nie potrzebował dla poparcia swych zdań lub zarzutów innemu czynionych, według upodobania i potrzeby brać wilka za barana i w celu utrzymania swej powagi krytycznej lub udowodnienia o swem rozgałęzionem obczytaniu, mieniać między sobą autorów i ich utwory, a przez to mydlić oczy mniej obeznanemu z poematami naszemi czytelnikowi. W takim bowiem razie krytyka przestaje być krytyką, a nie zasługując na miano nawet pseudo-krytyki, jest chyba tylko parodią krytyki, chcącej potępić swój przedmiot, a właściwie potępiającej samą siebie.

Następnie recenzent zarzuca mi, że „uważając Bartoszewicza za wyrocznię, szedłem głównie za jego sądami i wiele zeń przepisywałem.“ Jestto nieprawda, a raczej nieuzasadnione oszczerstwo, najmniej bowiem korzystałem z wyż wymienionego historyka, z góry już potępiłem niejako sposób jego zapatrywania się na rozwój historyczno-krytyczny dziejów naszego piśmiennictwa, i tylko w kilku miejscach, zgadzając się z jego sądami, takowe przytaczałem, w innych zaś nawet owszem wyraźnie zdania Bartoszewicza zbijałem. Takie orzeczenie nie przynosi bynajmniej chluby krytykowi, który chcąc jak najwięcej poniżyć anatomizowanego przez siebie autora, śmie tak czel-

nie i wbrew oświadczeniu autora narzucać mu również przez siebie potępionego przewodnika. Tu już stawiam sobie to pytanie, czy chyba recenzent nie chciał zażartować z publiczności, lub też (o czem chciałbym wątpić), siebie samego postawić za ostateczną wyrocznię, z której jednak oprócz, jak widać, fałszywych twierdzeń i przepowiedni, nic więcej wydobyć nie możnaby było.

Dalej pomawia mnie recenzent o „nieumiejętność różnienia przywódców nowej szkoły i zachowania między nimi należnego stopniowania,“ a na dowód tego przytacza *Mickiewicza, Krasińskiego, Pola i Ujejskiego*, w których „ocenianiu i stawianiu obok siebie zapomniałem miary i stosunku.“ Jestto kwestya dość ważna, a nie tak łatwa, jakby się recenzentowi zdawało, do rozstrzygnięcia. Powszechnie to uznana prawda, że nic nie maluje tak wiernie charakteru i stanu narodu, jak jego piśmiennictwo; szczególnie poezya jest owem zwierciadłem czarnoksięskim, gdzie dusza narodu, gdzieindziej tylko w słabem odbiciu i przez mroki gęstej obsłony widzialna, wpływa na wierzch w całej pełni i blasku, staje przed oczami w żywych barwach, w kształtach pewnych, dotykalnych. Zjawisko to powtarza się w każdym narodzie, szczególnie zaś wybitnie występuje ono w narodzie, który jak nasz, chociaż pełen sił żywotnych i żywego poczucia swego niespełnionego jeszcze powołania dziejowego, nie może sił swych rozwijać swobodnie, nie może całkowitego powołania spełniać na drodze spokojnej, na drodze wytkniętej prawami natury. To też, kto pragnął dać diagnozę narodu polskiego w którejkolwiek epoce dziejów jego porozbiorowych, potrzebował tylko spojrzeć na stan jego poezyi, potrzebował tylko przyłożyć ucho do tej wielkiej arteryi, żywą krwią i łzami płynącej, a wymykającej się zawsze szczęśliwie z pod bandażu anti-narodowych lekarzy — a z pulsu tam bijącego mógł czynić najpewniejsze wnioski o wewnętrznym stanie mniemanego pacjenta. Ztąd dzieje muzy polskiej są pośrednio dziejami narodu, a główni jej przedstawiciele, postawieni obok siebie jako cyfry du-

chowe, wyrażają cały jego program historyczny. Badacze piśmiennictwa formułowali ten program w rozmaity sposób; stósownie do punktu, z jakiego wychodzili przy tego rodzaju kombinacyi, jako też według czasu, w jakim ją czynili, stawiali jedni te, drudzy owe gwiazdy na czele polskiego zodka; w miarę wysokości, do jakiej wzbila się która chwilowo na widnokręgu, naznaczali im raz taki, raz inny rozmiarowy stosunek. Różnica i zmienność zdań wypływa tu z natury rzeczy. Horyzont ten wspaniały dziś jeszcze nie jest całkiem rozświecony, co chwila jeszcze prawie wypływa z odmětów nowa gwiazdka, której przyszłość i znaczenie pokryte jest mgłą tajemnicy; są tam jeszcze gwiazdy pierwszego rzędu, które stanęły ledwie u początku swojej niebieskiej wędrówki, podczas gdy inne, zbliżając się do kresu, tak pełnym jednak świecą jeszcze blaskiem i tak nam są bliskimi, iż wzrokiem słabym i olśnionym nie zmierzy dziś nikt ściśle ich wielkości i nie zbada do głębi ich natury. Do tego potrzebne są wieki.

„ denn es ist die Zeit
 Von einem guten Werke nicht das Maas;
 Und wenn die Nachwelt mit geniessen soll,
 So muss des Künstler's Mitwelt sich vergessen.“

(GOETHE).

My dziś przedzieleni od jednych kilku tylko laty, z drugini współcześnie żyjący, pod wpływem wrażeń, jakie dusza i uczucie nasze wciąż z ich ręki odbierały i odbierają, li tylko też pod wpływem tych wrażeń wewnętrznych możemy i umiemy mówić o nich. Miną pokolenia, nim przyjdą ludzie, którzy z zimną krwią patrząc szkłem bynajmniej nie kalejdoskopicznem w przeszłość, a raczej naszą epokę, badając zmysłem krytycznym charakterystyczne piętno naszego czasu, roz-anatomizują każdą indywidualność i nadadzą jej ostateczne stanowisko. Zresztą ja stawiając każdego z tych wieszczów na szczycie w dziedzinie muzy polskiej, starałem się też każ-

demu z nich nadać w tym Parnasie właściwe i odpowiednie mu miejsce, według rodzajów a raczej odcieni charakterystycznych poezyj, w jakich celowali, a w jakich każdy niosąc na czole wybitne i jaśniejące piętno, według czasu, okoliczności, a wreszcie i potrzeby narodu, wpłynął na jego rozbudzenie, podniesienie i uszlachetnienie. Jeśli poezya polska XIX wieku ma być zupełnym, duchowym wizerunkiem, idealnem odzwierciedleniem narodu, to musi ona jako wizerunek, jako portret wierny obok całości jego fizyognomji duchowej przedstawiać i pojedyncze żywioły, a to w takim stanie i świetle, w jakim one się właśnie w czasie tego odzwierciadlania znajdowały. Ojcem, patriarchą, głównym reprezentantem poezyi polskiej XIX wieku jest *Mickiewicz*; on odkrył niejako, on wziął w posiadanie nieznaną przedtem dziedzinę ducha, on osiedlił na niej całe plemię śpiewaków, od niego początek i blask swój wywodzących, on otworzył muzeum polskiej podwoje piśmiennictwa europejskiego, on ją dotąd jako całość reprezentuje. Nie idzie jednak zatem, abyśmy nie mieli — jak mi to recenzent zarzuca — obok niego postawić na zenicie poezyi *Z. Krasińskiego*, albo o „Pieśniach Janusza“ *Wincentego Pola* powiedzieć, że „one przewyższają inne może arcydzieła, bo w nich żyje cały naród, całą swoją przeszłością, chwilami obecnymi i rozwijaniem się przyszlęm;“ lub o *K. Ujejskim* orzec, iż „w nim znalazła swój wyraz cała jedna epoka pogrobowych dziejów narodu, w nim ześrodkowała się chwilowo cała dusza narodu.“ — Krasiński jestto największy moralny socjalista, jakiego w XIX wieku miała Europa, największy filozof, najbardziej natchniony poeta, którego jasnowidzenie rozszerza się nietylko na przeszłe i na przyszłe wieki, ale i na bieżące stulecie; on więcej widzi, niż wszyscy; W. Pol, jeden z pierwszych obecnie żyjących naszych rymopisów, wyrzekł o nim: „Siła poetycznego geniuszu Krasińskiego jest tak ogromna, że dla niej skali nie mamy w naszej literaturze.“ — Co do „Pieśni Janusza“ nie będę się tu rozwodził, gdyż orzeczenie moje o tym poemacie zadosyć usprawiedliwiłem w mej „Lite-

raturze“ (t. II, str. 184), dokąd czytelnika odsełam. — Zadziewia mnie tu najwięcej wyżej wymieniony zarzut, uczyniony mi przez krytyka, a tyczący się Ujejskiego. Odszukajmy tylko nieć dziejową pogrobowej naszej historii. Rządzącym, że tak powiem, planetą w r. 1831 był Pol; w r. 1846 był nim Słowacki. Lecz na roku 1846 nie kończą się zabiegi narodu o podźwignienie się z upadku; na Słowackim nie kończy się szereg jego śpiewaków. Więcej, niż kiedykolwiek, potrzebował on wtedy śpiewaka - pocieszyciela, śpiewaka - proroka. Jakoż Opatrzność czuwająca nad jego losami zesłała mu go. a w postaci już jego leżało świadectwo jego namaszczenia, w szacie jego tkwiło znamię jego rodu. Zdawało się, że to nie dziecię pól słowiańskich, że to nie syn Ewangelji, lecz jakiś z popiołów starego przymierza odżywiony fenix, jakiś nieznaný dotąd prorok wybranego ludu zstąpił między plemię polskie, aby na dalekiej północy dokonać dzieła Jehowy, przed dziewiętnastu wieki przerwanego. Zdziwił się zrazu naród i nie wierzył śpiewakowi dla jego obcej postaci. Wtedy otworzył przed nim poeta swoją duszę — a dusza ta była czysto-polska, pod suknją hebrajską serce było czysto-polskie. Poznał go wtedy naród i przyjął go za swego proroka. Śpiewakiem tym, prorokiem tym był Ujejski. *„W nim też znalazła swój wyraz cała jedyna epoka pogrobowych dziejów narodu, w nim ześrodkowała się chwilowo cała dusza narodu.“* Uznał to sam naród, śpiewając do dziś dnia pieśń jego jako modlitwę codzienną; uznali to śpiewacy narodu, tak ci, którzy przed nim szli, jak ci, którzy za nim idą. Poznał w jego pieśni od pierwszego wejrzenia szczere złoto natchnień Mickiewicz, odesłał doń naród po wieści z nieba Słowacki. A jak starsi widzieli w nim swe dokończenie i rozwiązanie, tak młodszy mają w nim swój początek. Bo jak w dziejach zewnętrznych, tak w dziejach ducha niemasz nigdy przerwy: jak cegła do cegły, przypiera tu jedna bryła do drugiej. Lecz co najważniejsza: tą drogą, którą wskazał Jeremi, poszedł cały naród. Słusznie powiedział Goethe:

„Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichter's Lande gehen.“

Nie Krasiński, nie Słowacki jest gwiazdą przewodnią powstania polskiego z r. 1863; jest nią Kornel Ujejski.

Zbyt ciasne ramy feljetonu poświęconego części literackiej w Waszym Dzienniku politycznym, nie pozwalają mi rozwinąć mej odpowiedzi przeciw wszystkim najdrobniejszym zarzutom recenzenta. To, co zarzuca sądom moim niby panegirycznym, jak o: Goszczyńskim, Słowackim, J. Korsaku, Ign. Chodźce, Wilkońskim, niby sprzecznym z sobą, jak o: Zaleskim, Lenartowiczu, Lelewelu i Łukaszewiczu, niby niekonsekwentnym, jak o: Korzeniowskim, Magnuszewskim, Szujskim, Rzewuskim, Kraszewskim i Kaczkowskim, tak jest drobne, a przytem tak zasadniczo uznane przez najznakomitszych nawet krytyków — których, nawiasem mówiąc, recenzent sam za wyroczenie uważa — tak dostatecznie maluje, iż recenzent albo nie rozumiał tego, co ja napisałem i co już wielu napisało, albo też autorów wyżej wymienionych mało czytał i nie pojął, a chcąc swą powagę potępiającą utrzymać, starał się przynajmniej sofizmatami (ale zupełnie fałszywie zestawianemi) udowodnić czy głęboką swoją uczoność, czy też dopiero pretensyę do takowej, że z powodu braku miejsca nie warto nawet odpowiadać.

W drugim feljetonie swej recenzji zarzuca mi krytyk, „że miejscowym (a więc podług niego krakowskim i galicyjskim) pisarzom i wydawcom zbyt wielką dają przewagę,“ na dowód czego przytacza, iż „Turowski, jako wydawca ma w spisie imion aż 28 odsyłaczów, a Żupański 1.“ Co do pierwszego odpowiem, iż starałem się przedewszystkiem oddać *„Bogu co boskiego, a cesarzowi co cesarskiego.“* Gdybym zresztą posiadał w sobie pewną przesadzoną dozę miłości własnej i kierował się przy pisaniu „Literatury“ rzeczywistą stronniczością, zapewne że chciałbym o Wielkopolsce jak najwięcej napisać i jej pisarzy tak co do *ilości*, jak co do *jakości* jak najlepiej

wystawić, gdyż sam jestem Wielkopolaninem i rok dopiero w Krakowie mieszkam, ale — *suum cuique*. Co do drugiego, dowód przytoczony zbyt jaskrawo wykazuje całą niezrozumiałość rzeczy i niedowarzone (z dodatkiem, że i w starej głowie takie wyskoki czasem się lęgną) zżywanie się na litery i liczby, abym się tu miał rozwodzić nad niedorzecznością tego zarzutu. Nie ubliżam ja bynajmniej p. Żupańskiemu, który ma wielkie, a może największe dotąd w kraju naszym zasługi jako księgarz, ale zawsze jako *księgarz*, mający przedewszystkiem na celu dobro materyalne, osobiste, a nie przedsiębiorcy wydawnictw, o którychby był przekonany, że mu nie przyniosą zysku. Lecz mężowie, jak: Mostowski, Działyński, Raczyński, Przedziecki, Turowski, a wreszcie Trzeciecki, abstrahując od wszelkich korzyści materyalnych, baczili i baczą li tylko na moralny i umysłowy pożytek narodu, a jako ludzie wielkich poświęceń, dający a nie nagradzani, zasługują słusznie na cześć ze strony narodu i na pierwszeństwo przed innymi przedsiębiorcami w historii cywilizacji naszej. Dziwię się zaś, dlaczego recenzent ujmując się za Żupańskim, nie ujął się także np. za Brockhausem z Lipska; wszakże i on wydał tyle pięknych dzieł polskich, a sama „Biblioteka pisarzy polskich“ mogłaby mu przecież nadać prawo do figurowania między znakomitszymi wydawcami *polskimi*.

Za wyliczenie mnóstwa nazwisk literackich, które w mem dziełku opuszczone, a które do tak krótkiego i podręcznego kompendjum żadną miarą wchodzić nie mogą, serdecznie recenzentowi memu dziękuję; przydadzą one mi się do „Historji literatury polskiej“, nad jaką obecnie pracuję, a w której osobliwie ostatnią epokę szczegółowo obrobić myślę; proszę tylko szan. anonima-krytyka, aby był łaskaw porozumieć się ze mną pod tym względem listownie i przesłać mi wszelkie, jakie tylko posiada, wiadomości odnoszące się tak do życia, jak i do dzieł wymienionych przez niego pisarzy; a w takim razie zrobi przynajmniej *coś* poczciwie, z dobrą wiarą i pożytkiem dla literatury i jej historii.

Co do oświadczenia recenzenta, iż „prócz znajomości autorów i dzieł, która się nabywa dłuższem życiem i obszernemi stosunkami, historyk musi już sam mieć powagę i ustalone stanowisko w literaturze,“ mam tylko tyle do nadmienienia, iż jestto tak drażliwe a przytem względne, że nie rozumiem, jak krytyk, jeżeli posiada cokolwiek empirycznie nabytej nauki i prawdziwego doświadczenia, może coś podobnego wypowiedzieć. Zresztą nie dziwię się, że ktoś broniąc przestarzałej formy klasyków i koniecznie upatrując w nich romantyczne natchnienie i ogień, trzyma się, jak to mówią, *starej daty*, i tylko w sędziwych na wierzchołku Parnasu wzniesionych głowach (choćby i ociążałych) widzi szczyt i kres wszelkich dążeń, opinii i wyroków, a potępia z góry każdego, który nie będąc *starym* i nie należąc do ich szkoły wyznawczej, śmie podać myśl nową, świeżą i choć może czasem nie zupełnie wyrobioną, ale zawsze coś odmładniającego, a tem samem pożytecznego w swym zarodku niosącą.

W końcu swej krytyki, recenzent dwóch tylko ludzi wymienienia, którzy *zdolni* są dzisiaj do napisania historii literatury: pierwszym z nich mieni Siemieńskiego, a drugim Małeckiego. A więc w kąć z Wami: Kraszewski, Tyszyński, Mecherzyński, Lewestam, Klaczko i inni — wyrok zapadł nieodwołalny! — i Wy, którzyście tyle położyli zasług na polu historyczno-krytycznem, w których sądy i zdania dotąd cały naród wierzył i ufał, jednym pociągiem pióra odtrąceni zostaliście od tej wyroczeni, na straży której recenzent tylko dwóch kapłanów był łaskaw postawić, nie chcąc może przez skromność powiedzieć, że arcy-kapłanem ma być on sam. Zresztą właśnie pierwszy z nich tj. Siemieński, uznany słusznie przez recenzenta jako najznakomitszy historyk-krytyk, rozbiegając moje dzieło w sześciu feljetonach krakowskiego dziennika „Czas“ z zeszłego roku*), obok wymienionych i udowodnionych wad

*) Zob. feljetyony „Czasu“ z r. 1867, Nr. 200, 209, 211, 215, 275 i 276.

lub niedostatków mej „Literatury“, uznał ją po trzy kroć za najlepsze dotąd kompendjum.

Na wyrazy szyderstwa, zółci i ironji, których recenzja jest pełna, nie odpowiadam.

Zbliżając się wreszcie do końca tej niemiłej dla mnie „Odpowiedzi“, dodać jeszcze muszę, iż każdy owoc ducha i umysłu, jakikolwiek on jest, winien przynajmniej być pod tym względem cenionym, że niesie w sobie dobre chęci i szczerą pracę. Są to dwie tarcze, o które — naturalnie tylko w oczach prawdziwie rozsądnych i prawych ludzi — rozbijają się wszelkie najzjadliwsze ciosy.

„Niechaj padnie, co paść musi,
Byle człek się nie obwinił!“

mówi Wincenty Pol; sierpem swej powagi i wiedzy krytycznej niechaj tnie krytyk we wszystko, cokolwiek niedojrzałe, ręką opiekuńczego gospodarza na niwie literatury niechaj wyrывa wszelki kąkol i zielsko, ale niechaj obok tego nie wyplenia kłosów pełnych pożywnego ziarna, lecz owszem widząc w niem siew rokujący przyszłe żniwo, niechaj stara się podsyć je do wzrostu i urodzaju; przeciwnie bowiem stanie się niszczyicielem, a imie jego przekłete będzie przez pracowitych rolników. Recenzent, który nie szanuje prawa krytyki, ale nurtując po dziele, ugania się za samemi błędami i sofizmatami i później zebrawszy je w antologję złośliwych zdań i przypuszczeń, ciska niemi, jak błotem, w oczy autora, staje się tylko, miasto pożytecznym nauczycielem, zjadliwym *paszkwilarzem* i *zasługuje chyba na wzgardę*. Cóż dopiero powiedzieć o takim krytyku, który na dowód potępienia anatomizowanego przez siebie dzieła, przytacza listę najfałszywszych twierdzeń i zarzutów? Niechaj na to każdy czytelnik sam sobie odpowie; ja pióra mego nie chcę walać, jak mój recenzent, wyrazem szyderstwa lub zemsty. W przedmowie do mej „Literatury“ prosiłem o wytknięcie mi wad i niedostatków mojej pracy w sposób godziwy, nauczający,

połączony z dobrą wiarą i sprawiedliwością; lecz pisząc to, nie spodziewałem się, iż znajdą się jeszcze w kraju naszym ludzie, co powodowani *osobistością* lub *zazdrością* szermierzą swym językiem i piórem według osoby autora, woli swych mecenasów lub własnego interesu. Niechaj sami wpierw napiszą coś lepszego, a czołem uderzę przed nimi.

Po raz pierwszy, ale i ostatni wziąłem pióro do ręki w celu polemiki, nie myślę jej jednak bynajmniej kontynuować, choćby mnie nawet ze strony mych przeciwników powtórne i dotkliwsze jeszcze spotkać miały ciosy; kruszę kopję na polu walki literackiej z tem oświadczeniem, że choćby równie haniebne pociski miały mnie dosięgać na drodze mej rozpozczętej pracy, nic mnie jednak od niej odstępować nie zdoła. Dobro całego narodu i zgoda wspólna, oto cel mój i cel nasz, dążmy doń, a miłość zobopólna i skupiona praca umysłowa wytepi zarazliwe wrzody toczące ciało narodu.

Pisałem w Krakowie dnia 12 Marca 1868 r.

Lucyan Tomasz Rycharski.



INSTYTUT
 BADAŃ LITERACKICH PAN
 BIBLIOTEKA
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
 Tel. 26-68-63